

na ucho

Leszek Możdżer

MICHAŁKI

Improwizowanie polega z grubsza na tym, żeby grać jakieś dźwięki, które pasują do ustalonego akordu. Albo nie pasują – jeżeli solista chce akurat zagrać coś co jest „na zewnątrz”. Granie „outside” polega z grubsza na tym, żeby zagrać jakieś dźwięki, które nie pasują do akordu. Ale zarówno w jednym, jak i drugim przypadku, nie sposób uciec od michałków. Branżowy termin „michałki” powstał ponoć w akademiku, w którym Michał Urbaniak godzinami ćwiczył pentatoniczne przebiegi na skrzypcach. „Michałki” to innymi słowy „patenty”, „knyfy”, „gotowce”, czyli wszystkie te charakterystyczne motywy i zwroty melodyczne, które każdy improwizator ma w swoich zasobach. Miał swoje michałki Oscar Peterson, ma je Mikołaj Trzaska, miał je Tomasz Stańko, ma je Brad Mehldau, mam je również i ja. Wypracowanie sobie michałków trwa całym latami. Z biegiem czasu michałki ulegają kolejnym destylacjom, emancypują się, nabierają niepowtarzalnego charakteru, składają się z potu, krwi i duszy dysponującymi nimi muzyka. Nabierają osobowości. Składają się z tak wielu drobnych składowych, że są właściwie nie do podrobienia. Można zagrać te same nuty, co Michał Urbaniak, można co do joty powtórzyć solówkę Johna Coltrane’a, ale sorry man, nigdy nie będziesz ani Johnem Coltrane’em ani Michałem Urbaniakiem.

Dlaczego najwybitniejszych artystów rozpoznajemy dosłownie po paru dźwiękach? Bo mają własne brzmienie i własne melodie. W jazzie nie chodzi o to, żeby mieć michałków, w jazzie chodzi o to, żeby mieć własne. Choćby taki Namysłowski. Weź spróbuj człowieku wytropić krętą frazę Namysłowskiego! Latami siedziałem za klawiaturą jego kwartetu i ciągle nie mogłem się zorientować, co on gra. No nie nadążysz



fol. Kasia Stanczyk

„Michałki” to innymi słowy „patenty”, „knyfy”, „gotowce”, czyli wszystkie te charakterystyczne motywy i zwroty melodyczne, które każdy improwizator ma w swoich zasobach. Miał swoje michałki Oscar Peterson, ma je Mikołaj Trzaska, miał je Tomasz Stańko, ma je Brad Mehldau, mam je również i ja.

człowieku! On ma akurat wyjątkowo wyrafinowane michałki, które zresztą tnie na bieżąco i jak z łańcuchów DNA robiąc nowe łączenia, tworzy z ich fragmentów nowe melodyczne byty. To wymaga wyobraźni i wielogodzinnych ćwiczeń.

Michałki bywają bolesnym wędzidłem, które uciążliwie uwiera nie pozwalając się unieść ponad własną wyobraźnię, ale bywają jak lecząca amrita. Zasób michałków ratuje cię, kiedy jesteś niewyspany, kiedy porzuca cię dziewczyna, kiedy ukradną ci samochód i najzwyczajniej masz dosyć wszystkiego. Wychodzisz na scenę i twoje ciało po prostu gra. Michałki. Zdarza się, że w przypiływie inspiracji i zachwytu wykonasz jakiś nieoczekiwany przewrót, wprowadzisz kompletnie nowy schemat, ale wytresowane godzinami ciało i tak prędzej czy później zacznie grać twoje michałki.

Bywa, że słuchając muzyka po raz pierwszy jesteś oszołomiony paletą jego środków, pomysłami melodycznymi, wykwintnymi roszadami harmonicznymi składników. Nawet jeżeli solista zagra coś, co „nie pasuje” do akordu, to i tak ma to swoją wewnętrzną logikę, bo składa się z pracowicie latami budowanych michałków. Kiedy artyści słucha się wielokrotnie, latami, to jego język staje się już bardziej zrozumiały, przewidywalny, jakby oczywisty. Przestaje zaskakiwać i oszałamiać. Kiedy ostatnio przeczytałem dwie przeciwstawne recenzje tych samych koncertów zobaczyłem to bardzo wyraźnie.

Otóż po Warsaw Summer Jazz Days dwaj recenzenci opisali swoje wrażenia. John Watson z brytyjskiego portalu londonjazznews.com dość chłodno skomentował występ Brada Mehldaua, który „nigdy nie zawodzi, ale rzadko zaskakuje” i z całego koncertu łaskawie skomplementował jedną balladę, natomiast nasz rodak Adam Domagała w swoim podsumowaniu pisze uniesiony, że już „zasób komplementów został wyczerpany”, a muzyka Mehldaua to „czysta emanacja sztuki jazzowej. Piękno, skromność, współtworzenie i elegancja”. Mój występ również dostał się pod „obiektywne” oko recenzentów i tutaj również mają oni skrajnie odmienne wrażenia. Według Domagały nic nie było w stanie „zamaskować pustki tego projektu”, natomiast Watson rozplywa się w zachwytach pisząc, że koncert był natchniony, ba, twierdzi, że najlepszy na całym festiwalu. Od razu widać, że Domagała Możdżera słucha często, a Mehldaua rzadko, a Watson odwrotnie. Sprawdza się tu popularne pośród muzyków powiedzonko: „poznał michałki – stracił szacunek”.